

KLASYKA MNIEJ ZNANA



Gabriela Zapolska

O CZYM  
SIĘ NAWET  
MYŚLEĆ  
NIE CHCE

universitas

O CZYM SIĘ NAWET  
MYŚLEĆ NIE CHCE

---



K L A S Y K A   M N I E J   Z N A N A

Gabriela Zapolska

---

O CZYM SIĘ NAWET  
MYŚLEĆ NIE CHCE

Kraków

---

© Copyright for Klasyka...  
by Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych  
UNIVERSITAS, Kraków 2002

**ISBN 97883-242-1490-7**  
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki serii  
*Ewa Gray*

---

# I

Zanosiło się na tak zwaną „piękną noc”.

Ludzie w ogóle wracali do swych legowisk piechotą. Inni z owych legowisk także piechotą zanurzali się w jeszcze nie podechnięte od błota ulice. Kłapały bojkie i rozlaźle stukania podszew o bruk lub asfalt. Cierpliwie oddawała je echem ulica, po której snuły się widma, kształtem ludzi przypominające. Z daleka brzęczały tony fortepianów i połyskały przebijające się przez stopy światła prawie jaskrawe piętrowych pomieszczeń. Tak – nad chodniki wzniesione okna te wydawały się jakby szeregiem olbrzymich latarni, zawieszonych w powietrzu. Niektóre były uchylone, na niektórych znaczył się rozpięty mistycznie krzyż ramy szybowej. Ten szereg krzyżów, spoza których łaskotała przestrzeń taneczna muzyka, dziwny był i w mózg wrastający. Przytulny znak, podobny milczącej postaci czarnego archaniola o rozsuniętych prosto, nieruchomych skrzydłach, przechodził w coś boleśnie wystawionego na bezcelowe urągawisko. Kohorta archaniołów strzegła gniazd rechocących wieprzaków, niewidzialnych, jednak znak życia silny i niezmożony o sobie dających. Archanielskie krzyże stały wyniosłe na uwięzi, wprowadzone w skamieniałość tragiczną. Rozsunęły swe skrzydła wąsko złożone i spływały prostą linią swych ciał androgynowych na rampy okienne. I strzegły tak mimo wszystko pentagramicznie rechot, służący im za bolesne tło, siekące je chłostą.

Te krzyże, tak o nocnej porze wyrastające szeregiem i zawisłe nad ziemią, domagały się raczej wielkiej, bezkresnej równiny wysrebrzonej świeżym rzykiem o czerwonych, gasnących już, strzelistych resztkach ginącego w pomroce słońca.

To powinno być poza nimi, ten cichy czar wieczoru, niezdzławionego cielskiem murów, zięjących smrodem i zgnilizną spiętrzonych ciał ludzkich. To tylko purpura słońca i drżąca poświata tęczowa, półkolem zaznaczona i wchłaniana przez srebro równiny.

I one, te krzyże rozpięte – wyniosłe, archanielskie, szeregiem wykwitłe, jak grzęda mistycznych irysów czarnych – modlitewne same i do modlitwy bez przymusu wzywające. Lub jeszcze choćby spoza murów rozwalonych, opuszczonych cmentarzy, gdzie miejsca na nowe trumny nie ma, a noc jesienna miecie całuny złote, szeleszczące z liści przydrożnych lip na zapadłe mogiły...

Lub jeszcze dwie brzozy koło takiego krzyża pod stopy mu ścielą delikatne swe gałęzie – kochają go miłośnie i prawie lubieżnie. Wierne mu są i cichym poszumem gałązek i rozświergotaniem drobnych, ubogich ptaszków łagodzą jego surowość. O nocy nikną w czerni razem z Nim – archanielskim. Wyplyną w srebrze powodzi księżycy albo w porannej zorzy świetlanej. Świeże są, pokorne – obleśne w swej egzaltacji miłosnej.

I piękne.

---

Dalekie od tych uroków są krzyże zawisłe nad asfaltem ulicznym, spoza których wysnuwa się rehot ludzkich egzystencji, splecionych w brzydki kłęb świeżo wyplutego z organizmu chorego – robactwa. Ku tym krzyżom, bez skargi znoszących swe pohańbienie przestrzenne, biegną świecące oczki Marysieńki, podskakującej drobnym, prawie dziecinnym krokiem obok Zdzicha, zaszytego dostatnio w swe zimowe jeszcze palto. Uczepiła mu się swoim zwyczajem u ramienia gestem w dobrym humorze będącej małpki.

Z dumą stawia swe wąskie, nerwowe nogi, lśniące lakierem nowych bucików. Długi aksamitny płaszczyczek czernią matową wchłania jej postać drobną i prawie nikłą. Tylko gdzieniegdzie zabłyszcza guziczki lub w świetle latarni przelotnie dół okrągłej bródki z linijką zawsze otwartych jakby do krzyku ust. Jest śmieszna i roześmiana. To odczuć można. Wraca z teatru, gdzie grano jakąś nudną sztukę. Mówiono dużo o miłości na scenie. Ona przez ten czas szczypała męża w udo, robiąc przy tym minę poważną i zasluchaną. On podskakiwał śmiesznie, lecz się nie gniewał. Był także w dobrym humorze. Na kolację mieli świeże cielęce sznycel-

ki, paszтет, napiją się po kieliszku koniaku. Zamiast dorożki kupili sobie trochę ciastek i owoców.

On niesie ciastka, ona owoce, i wywija zwycięsko małą torebką. Bardzo jest przyjemnie i dobrze na świecie.

Dochodząc do ulicy Ciężarowej zwolniła kroku. Wsłuchiwała się w rechoczące tony fortepianów. Jakaś polka ekscentryczna wybijała się nad wszystko. Załaskotała ją. Zaczęła podskakiwać w takt. Zdzich jednak pociągnął ją.

– Chodź, Maryś! – wyrzekł niecierpliwie.

Lecz ona zaczęła prosić:

– Chodźmy tamtędy! mój złoty!...

Zachnął się, prawie ze złością.

– Powiedziałem ci, że nigdy nie będziemy tamtędy chodzić.

– Tam... bal!

– Właśnie.

– Tańczą!

– Właśnie.

Jakaś dorożka nadjeżdżała. Ciężka była, cała pełna od mężczyzn. Stado ich było całe. Jeden przechylony spał, a ręka jego zwisała, dotykając prawie koła. Inni ściągali w głąb jakiegoś młokosa, który niepewnymi ruchami darł się na kozioł i wyczyniał jakieś konszachty z pełnym pogardy dorożkarzem. Minęli Zdzisia i Marysieńkę przypartych do ściany. Wjechali w Aleję Krzyżów. Zaczęli krzyczeć coś niezrozumiale.

Marysieńka wyrzekła:

– To pewnie jedzie młodzież na bal.

Zdzich wzruszył ramionami.

– Właśnie.

Pociągnął ją w boczną, ciemną, wąską uliczkę.

Idąc – szczebiotała:

– Bo żeby się poznać z tym państwem, co tam mieszkają, to byłoby wesoło. Co dzień tańczą... Choć żeby bywać u jednych takich... Oni pewnie też kolejarze... Może znają tatusia... a może ty tam bywałeś – to moglibyśmy im wizytę złożyć. Co?...

Jakieś dwie postacie szły naprzeciw nich. Kobiety. Ubrane wąsko. Jedna miała kapelusz na głowie, druga była z gołą głową.

– Jakieś panie!... – zapiszczała Marysieńka – patrz, Zdzich – jedna z gołą głową.

– Co ci do nich!...



– Nic – tylko że to nieprzyzwoicie. Nawet ładnie ubrane, zdaje się. Więc nie sługi. Czemu bez kapelusza? Co? O! rozstały się.

Jedna rzeczywiście zatrzymała się pod latarnią, pochyliła się i zaczęła coś poprawiać pod suknią. Druga przemknęła środkiem ulicy, kierując się ku Ciężarowej. Szła brukiem, nie zważając na błoto. Zniknęła. Marysienka obejrzała się za nią.

– To ta pani bez kapelusza. Patrz, jaką ma fajną bluzkę koronkową... co? Myślisz, że ja nie widzę, bo ciemno?! Ja mam dobry wzrok.

– Cicho! nie oglądaj się!

– Poszła już tamtędy, gdzie tańczą. Nie widziała...

– Chodź prędzej.

– Nie ciągnij! – E! jesteś mops!

Nagle umilkła jak zahipnotyzowana. Kobieta pod latarnią uniosła wysoko spódnicę i manewrowała coś koło pończochy ponad kolanem. Poprawiała podwiązkę. Biała koronka majtek błyskała. Marysienka wpatrzyła się szeroko rozwartymi oczyma w tę aparycję. I nagle zachichotała, jak chichoczą dzieci wiejskie, uciekające z gościńca do chałupy.

– Zdzieł! ta pani ma różę za podwiązką!

Szarpnęła nią.

– Cicho! chodź!...

Piszcziała rozbawiona.

– Jak mamę kocham! różową różę z liśćmi...

Lecz tamta spod latarni już dosłyszała i wyprostowała się nagle.

– To co? to co? – warknęła.

Niespodziewane to odezwanie się zbiło zupełnie z tropu Marysienkę. Głos tamtej był jakiś dziwny, niesamowity. I potem cała twarz znaczone kreskami oczu, rozplaszczonego nosa, wąskich ust, twarz niecodzienna, napiętnowana, jakby tylko z kości, pokrytych trochę skóry bardzo delikatnej i białej – wgniotła się w mózg roześmianej młódki brutalnie i niespodziewanie.

– To co? to co? – powtórzyła, równając się z idącą pośpiesznie parą.

Marysienka zaszyła się pod ramię męża, nagle strwożona – jak ptak, na którego spadła bryła brudnego śniegu.

– Zdzieł! czego ona? niech sobie idzie!... – wyszeptwała.

Rozzłościł się naprawdę.

– Widzisz, mówiłem ci...

Tamta wyczuła w nich trwogę. Jak pies złośliwy, który czepi się uciekających i zalęknionych, pokazała kły posztukowane złotymi plombami.

– Widzicie ją!... – syczała – nie podoba się jej róża na podwiązce. A co ci się podoba?

Marysiénka drgnęła, jakby pod uderzeniem rozpalonej szpicruty.

– Zdzych!... – wyjęczała.

– Małpa! – syczała tamta – złapała sobie draba i wlecze się z nim, i taka dumna!...

Zdzych odwrócił się ku niej pełną twarzą.

– Proszę nas zostawić w spokoju! – krzyknął.

Lecz ta – czysto zdjęta z Ropsa tragicznych wizji – parsknęła kocim śmiechem.

– Zdziszek... serwus, kanalio... gdzie cię niesie?

Zacisnął usta. Czuł pytający wzrok Marysiénki. Poufałość błotnistej zjawy zamroczyła mu na chwilę przytomność. Nie rozróżniał jej twarzy. Nie znał jej. A może i znał. Kiedyś – bardzo dawno – w swych młokosowskich, rozuzdanych latach. Zdawała się nie mieć określonego wieku. Zdawała się być wieczną – ciąglą – nieustającą – niezwalczoną.

I nagle ogarnęło go nieokreślone uczucie, gdy tak szedł z tymi dwoma kobietami przy boku. Z młodziuchną żoną, uczeponą mu u ramienia, i z tą drugą, klapiącą o krawężnik chodnika amerykańskimi, grubymi podszwami bucików. Uczuł jakby zawrót głowy i mdłości, porywające go nerwowo.

– A powiedz tej małpie, z którą się wleciesz! – zasyczał znów grobowy głos z ciemnicy – żeby porządnych ludzi nie zaczęła po ulicach, bo tak jej pyski spiorę...

Ścisnął w rękę łaskę.

– Idź precz, bo zawołam policjanta – krzyknął.

– A!... patrzcie go! A wołałeś policjanta, jakeś do mnie przychodził na Zakroczymską? Zapomniałeś? Na darmochę przychodziłeś! Byłeś goły jak bizun... Ty morowa nacyj! policjantem będzie straszyl. Ja cię nie zapomniałam!

Teraz już biegli prawie wszyscy troje. Ona wciąż obok nich, utykając teraz po kamieniach, bo asfaltowy chodnik urywał się nagle i przechodził w resztki jakiegoś wygryzionego bruku.

– Zapłać mi lepiej, coś winien od tyłu lat, złodzieju!... – wycharczała zdyszana.

Wyrwał ramię Marysieńce. Laska śmignęła i opadła ciężko na twarz i głowę prześladującej.

I rozległ się straszny, nieludzki wrzask. Coś z hieny, obdzieranej żywcem ze skóry, coś z gwizdzącej tragicznie syreny okrętowej, nawołującej o pomoc w piekielnym skowycie rozszalałej burzy.

Właściwy ton ów mają jedynie tylko głosy dziewczek, bitych po zaułkach ulicznych. Tajemnica tego dźwięku tkwi w ich zapadłych i zmęczonych piersiach. Wyją... skomlą... drą się, jakby życie darło się im w strzępy.

– Policja! po-li-cja!... stójkowy!... zabijają!... za-bi-ja-ją!...

Marysieńka zaczęła krzyczeć:

– Zdzich! nie bij!...

Jakaś solidarność kobieca podniosła się nagle z tej czerni wobec śmigania tego kija po zmęczonej głowie, z której posypały się pióra kapelusza i przyprawne kudły.

– Nie bij!...

Dopadli do bramy, mając ją poza sobą. Wyła – widocznie silnie kijem ugodzona. Dzwonili rozpaczliwie – oboje uważając wydostanie się do wnętrza bramy jakby jakieś ocalenie się przed czymś ohydny. Stróż wyjątkowo szybko się zjawił. Czas już był. Tamta pozbierała się i pędziła ku nim jak kłęb czarnego, rozwichrzonego błota. Zionęła przekleństwem i ohydą słów. Cała rozpusta długoletnia była w niej. Mściwość teraz brała górę. Rzecz można, nie za śmiech Marysieńki i kij dawnego kochanka, który studenckie noce przesypiał na jej łonie – lecz za to wszystko, co tam na dnie marło w niej na pozór, a przecież gnilo tylko nienawiścią i przekleństwem.

I był taki rozpęd szalony, taka moc potworna w tym pędzie, którym się ku nim cisnęła, że wpadli do bramy jakby bezprzytomni – i równocześnie z ust ich wycharczało do stróża:

– Zamykaj! zamykaj!...

Już z tamtej strony biły o bramę oszalałe od furii pięście – rozlegał się tupot nóg, walących w historycznym szale o bruk. I bełkot przeciągły słów gnijących – jakby szczek psa, wyrwanego z budy, który wlokąc łańcuch, targa się nocną czernią wśród zapartych domostw.

Stróż pokiwał głową.

– Jakaś z Ciężarowej. Wyjdę i zdziękuję przez łeb...

Lecz Marysieńka uchwyciła rękę już gotową do bicia.

– Nie bić!... – zawołała cała drżąca.

## II

Gdy się wydostali na górę i wpadli do swego mieszkania, uczyli się nagle tak, jak ten, który tonął w błocie i nagle poczuł grunt pod stopami.

Ciepło domowego gniazda, świeżość sprzętów, do których już zdążyli się przyzwyczaić, ich milczące powitanie bez cienia tej złośliwości, którą z czasem przybierają rzeczy nieme, w długiej wysłuchce poniewierane – owinęła ich od razu pewną miękkością uspokajającą.

Szczególniej odnosiło się to do mężczyzny, który wrażliwszy był obecnie na różnicę życiowych odcieni. Zetknięcie się z dziewczką, która dawniej dawała mu przytułek i „miłość” w bardzo niewybrednym otoczeniu i formie, kazała mu poniekąd odczuć dużą różnicę w tym, co było, a co jest obecnie. Zdejmując palto i wchodząc do oświetlonej jadalni, gdzie czyściuchno nakryty stół pod kloszem elektrycznym świecił się bielą obrusa, porcelany, migotał szkłem – wieszował sobie, iż jest teraz tak bardzo daleki od włóczenia się nocą po bajzlach, szantanach po to, aby zakończyć noc tryumfalnie na przepojonym dymem tytoniowym łonie prostytutki. Pod tymi wrażeniami uśmiechnął się do sztychów zawieszonych na ścianach, do ładnego dębowego kredensiku o mosiężnych okuciach, do sofy obitej brązowym sukniem. Nie żałował zaciągniętych na umeblowanie pieniędzy. Dziś bowiem więcej niż kiedykolwiek odczuł ciepłko wiejące z zastawionych kątów. Siadł do stołu i nalał sobie kieliszek koniaku. Potem przysunął sardynki i zajął się nimi, oczekując na pojawienie się żony i dalszy ciąg kolacji.

W kuchni słychać było brzęk naczyń i krzątanie się służącej. I to było dopełnieniem programu domowego ogniska. Rozpalone płonęło równo i jasno, bez dymu i komplikacji.

Przynajmniej na teraz.

Zawołał prawie wesoło:

– Maryś!

W sypialni odezwał się cichy, jakby płaczący głosik:

– Idę!

Weszła ubrana jeszcze, jak była w teatrze – w ładnej sukni skomplikowanej, złożonej z gipiury, gazy i jedwabiu. Była za strojna dla jej drobnej postaci. Niemniej dodawała jej jakby szyku. Kolor lewandy, komplikacja karminu z błękitem, przeważał dyskretny i podobny do barwy jej oczu. Te oczy były jakby zapłakane, jakby coś po nich się przesunęło – pomimo usiłowań, aby znikło. Usiadła jeszcze po panieńsku, grzecznie, na brzeżku krzesła, i poddała pod blask lampy swą starannie uczesaną, trochę podłużną głowę. Włosy jej miały odcień właściwy szatynkom, które zbyt o te włosy dbają. Lśniły prawie sztucznie, bez rozkosznej puszystości, przypominającej rozwichrzone dziecięce fryzurki. Doskonale, równo zarośnięte, podnosiły się od karku linijką bez najmniejszego zarzutu. To uderzało przede wszystkim w jej głowie, to, i pewna prawie starcza pedanteria w doskonałej czystości i dokładności stroju i całej postaci.

Nalał jej kieliszek koniaku.

– Napij się! – zapraszał.

Odczuła natychmiast, że on jest w doskonałym humorze, a przynajmniej usiłuje być w nim.

Zapra gnęła się doń dostroić.

Uśmiechnęła się, pijąc koniak, lecz poczuła także, iż uśmiech ten wypada blado.

Siedziała dalej martwa i niema.

Chciała jeść. Nie mogła. Widelec jej z rąk leciał. Mimo woli ciągle zesuwała się na ulicę. Nie widziała przytulnych, jasnych ścian ani szkiców, które lubiła i do których przywykła już uśmiechać się, jedząc. Coś przed nią majaczyło ciemnego o liniach przeginającej się kobiety, jakiś kapelusz spadał, wirował, toczył się po bruku. I potem wrzask się rozlegał z oddali, i znów coś się o nią ocierało śliskiego, i to coś bez wyrazu zasiadało przy stole na jasnym dębowym krzeselku. Sama mimo woli marszczyła brew – usta jej wykrzywiały się. To coś, co za nimi weszło ze śmietnika ulicy, miało w sobie promieniowanie jakichś brudnych, zastałych przeżyć. Kurczyła swe wymyte czyściuchno ręce. I doznała nagle dziwnego wrażenia. Gdy Zdzych podał jej czarkę z masłem, ręce jego wydały się jej jakby pokryte szarą pleśnią. Była to sekunda niewyraźna. Znikła przecież. Ale była.

On wyciągnął się na krzesle, rad z kolacji, która ciągnęła się już teraz normalnym trybem.

- Wszędzie dobrze, w domu najlepiej! – mruknął szablonowo.
- Co, Maryś?
- Nie odpowiedziała nic. Mimo woli nasłuchiwała.
- Czy nic nie słyszysz? – zapytała wreszcie.
- Jak to?
- Z ulicy! Zdaje się, ktoś krzyczy.
- Porwał go gniew. Wznowił się poprzedni nastrój, zebrany w zgniliznie trotuaru. Zanudziło go. Odsunął talerz.
- Co z tobą? Kto ma krzyzczeć?
- Cichutko wyszeptała:
- Ona!
- Udawał, że zapomniał, że nie rozumie.
- Jaka znów?
- Ta... coś ją uderzył.
- Ach!... Także masz o kim myśleć... lepiej jedz...
- Lecz ona odsunęła się nagle od stołu.
- Ona ci mówiła... ty... – wyrzekła powoli, wbijając oczy w obrus. Wzruszył ramionami.
- Zdawało ci się!
- Nie! nie! I nazywała cię po imieniu. Ona cię zna...
- Zniecierpliwiony, tym bardziej, że przyniesiono kompot, który lubił specjalnie – odrzucił:
- No więc mnie zna.
- Ciebie?
- Oczy jej otworzyły się szeroko. Patrzyła na niego długą chwilę, jakby starając się pojąć rzecz nadnaturalną. Wreszcie wyszeptała:
- Skąd?
- Nadspodziewanie te jej szeroko rozwarłe oczy, ta indagacja rozbawiła go.
- Skąd? nie pamiętam! Z ulicy czy z knajpy... czy ja już wiem!
- Ona mówiła, że przychodziłeś do niej na Zakroczymską ulicę.
- Nie pamiętam. Jeżeli tak, to było bardzo dawno. Z osiem, dziesięć lat temu. Może i dawniej. Byłem jeszcze smarkaczem...
- Pożarł kompot, pił śpiesznie herbatę. Ona nie jadła nic wcale. Skurczyła się. Patrzyła spod brwi ściągniętych. Wreszcie po długiej chwili wykrztusiła powoli:
- Po coś ty do niej chodził?
- Zaczął się śmiać bardzo serdecznie i szczerze.
- Po co? po co?

– Tak? po co?

Nieznany jakby błysk mignął w jej oczach. Poczula się sama nagle silna, jakby w stal zakuta. Wyprostowała się i odsunęła. On porwał się z krzesła i wesoło pochwycił ją wpół.

– Po to, po co my oboje pójdziemy teraz do naszego pokoju!...

Podniósł ją z krzesła, nie czując, jak mu się pręży w rękę nagle i boleśnie. Chciał ją ugryźć swoim zwyczajem w kark, lecz wygięła się przed jego ustami jakby przed dotknięciem czegoś nieczystego.

– Zostaw mnie! – zawołała.

Nie wyczuwał nic. Był już w sypialni i tam urządzał swoje małe nocne gospodarstwo. Ona stała ciągle na progu i patrzyła na niego tępo. To coś, co wyczuwała obok nich przy stole, wtargnęło i tu do sypialni. Wydało się jej, że na posadzce jest pełno błota, a meble przysypane pyłem.

– Rozbieraj się, Maryś!...

Zaczęła powoli ściągać z siebie suknię. Przechodząc koło okna, mimo woli przystanąła w nadśluchujący sposób. Zwykle rozbierała się bardzo szybko – załatwiała swą nocną tualetę za parawanikami, tworzącymi rodzaj ubieralni, i już była obok niego pod kołdrą ruchem zwinnego małego kota.

– Oto jest mopsa żona! – anonsowała skrzeczącym głosem.

Dziś tego wszystkiego nie było. On leżał już w swoim łóżku, śmieszny trochę, na błękitnie delikatnym, przebijającym przez bazyliki poszewek. Palił papierosa z wielkim smakiem. Na kołdrze leżały dwa wieczorne dzienniki. Nie miał ochoty zabierać się do nich. Pograżał się w miłym nastroju, oczekując na ciepło ciała Maryśki, które za chwilę powinno było znaleźć się tuż przy nim. Lecz dziś „żona mopsa” – spóźniła się jakoś. Obejrzał się po sypialni. Stała przy oknie. Stora była wszakże zapuszczona. Marysieńka miała już na sobie długą, ciekawą koszulę z białego batystu, przystrojoną żółtymi koronkami. Delikatna wstążeczka wiążywała tę koszulę białym, dziewczęcym motylkiem. Miała Marysieńka w tej chwili pozór białej komuniantki, zasłuchanej w niepewny ton organów. Nie widział jej twarzy. Przylgnęła nią do szyby. Stała – nieruchoma.

– Co tam widzisz? na co czekasz? chodź!...

Oderwała się powoli i szła wąską ścieżeczką, zostawioną pomiędzy łóżkami. Wyczuł w niej (nawet on) obcość jakąś, chęć

izolowania się. Podnieciła go ta świadomość. Wyciągnął rękę. Pochwyił batyst.

– Chodźże!

Nie wsunęła się pod kołdrę. Usiadła na brzegu łóżka. Błękit abażurka lampki elektrycznej oświetlił ją mistycznie. Przyniosła z sobą jakby pewną powagę chwili.

– Powiedz mi!... – zaczęła – powiedz! to ty... ją kochałeś?...

Teraz on otworzył szeroko oczy.

– Kogo?

– Tę, tę...

Wskazała ręką w stronę okna, jakby nie mogła już precyzyjnie przez gardło bliższego określenia tamtej kobiety.

Zaczął śmiać się znowu.

– Ach! ty głuptasku!

Ręka jego błędziła po batystach. Usunęła ją.

– Kochałeś ją? – powtórzyła twardo.

– Jak ty się możesz pytać o coś podobnego.

– Mogę! mogę!... Powiedziałeś, że po to do niej chodziłeś, po co...

Nie dokończyła. Oblały ją płomienie. Usunęła się z brzegu łóżka.

On aż podniósł się na pościeli.

– A to piła!... – wyrzekł, sięgając po papierosa.

– Odpowiedz!...

– Czyś ty oszalała? Przecież się takich kobiet nie kocha.

– Jak to? Jeśli to samo z nią... robiłeś, co ze mną?

Rozłożył ręce bezsilnie zdumiony.

– A cóż ty chciałaś? żeby czekał na ciebie?... Przecież musiałem gdzieś pójść.

– Dlaczego... m u s i a ł e ś?

Nie znalazł odpowiedzi na razie, którą mógłby skoncentrować w jędrnym, dosadnym określeniu. Schował się jakby za skrzydła parawanu.

– Byłem młody...

– A!...

Lecz na jej twarzy chmura wzrastała. To ją nie przekonywało. Namyslała się. Coś kombinowała. Wreszcie uparcie wróciła do swego.

– No to musiałeś się w niej kochać!



– Niby dlaczego?...

– Bo właśnie młodzi się kochają. I gdybyś tak przez miłość poszedł do niej...

Zachnął się pół zniecierpliwiony, pół roześmiany.

– Gadasz o rzeczach, o których nie masz pojęcia. Bierze się w kieszeń trochę pieniędzy i idzie się załatwić ową miłość. Nic więcej!

– Tak – po prostu?

– Najprościej.

– Nic więcej?

– Najzupełniej.

– I wszyscy tak?

– Wszyscy.

– Jezus Maria!...

To już cichutko wyszło z jej ust, prawie niedosłyszalne. Tylko ona odczuła ten rozpaczny wykrzyk i coś przewinięło się przez nią, jakby żywe, szarpiące ją stworzenie. Zrozumiała, że głośno nie może zademonstrować swej grozy, bo byłaby niezrozumiana. To, co się w niej działo w tej chwili, było zupełnie obce dla tego mężczyzny. On przebył to lodowe pole, na którym włóczyły się kłęby czarnej, cuchnącej mgły. Ona znajdowała się dopiero u bez nadziejnej furty i biły w nią orkany zamarzłych i duszę przenikających pędów. Czowała, iż cofnąć się nie czas. Zrozumieć musi wszystko i napić się cała trucizną strasznych, nieprzewidzianych tajemnic. Ciało jej marzło i prężyło się, zatracając swą giętkość i podatność dziecięcą. Wpiła paznokcie w atlas kołdry.

I tak martwiła.

On patrzył w sufit poprzez delikatne chmurki papierosowego dymu.

– Teraz sobie coś niecoś przypominam, skąd ona. Zdaje mi się, że była wtedy w jakiejś mleczarni.

– Co tam robiła?

– Usługiwała. Potem spotkałem ją na ulicy. Już się włóczyła... A potem widocznie spadła na to, co dziś... Tak! tak! zdaje się, że to będzie ona. Choć dobrze nie pamiętam.

Zęby mu w śmiechu błyszczały.

– Tyle ich było.

Zapadło milczenie. On grzebał we wspomnieniach, ona z tych wspomnień budowała teraźniejszość.

– A dlaczego... ona... ci mówiła „ty”?... – zapytała wreszcie.  
Głos jej brzmiał dziwnym, zmienionym dźwiękiem.

– Jakże chcesz, żeby mówiła inaczej po tym, co było pomiędzy nami.

– A ty?

– Co?

– Mówiłeś jej także... ty.

– Jakże miałem mówić – „łaskawa pani” czy „droga pani”!

– I... i... całowałaś ją?

– Czy ja wiem.

– W usta?

Nie odpowiedział nic. Czuł jej oczy spod długich rzęs, wbite w siebie niespokojnie.

– W usta... – powtórzyła – jak mnie?

Zrozumiał wreszcie, że chwila jest trochę ważniejsza niż przypuszczał.

Zaprzeczył.

– Co ci do głowy przychodzi? Takich kobiet nie całuje się w usta. Traktuje się je jako mus, jako konieczność. Pogardza się nimi. Jak możesz nawet porównywać siebie do niej. Ty głuptasie!...

Wyciągnął rękę, aby ją przyciągnąć do siebie. Lecz spotkał się z pewnym oporem. Pierwszy raz podatne zazwyczaj i chętne do pieczyoty ciało Marysienki zeszywniało w jakiejś niechęci.

Zmarszczył brwi.

– No... Maryś... co to? fe! a! fe!...

Ta nagana, wypowiedziana tonem kogoś, kto dojrzał nagle rzecz brzydką i zdrożną tam, gdzie była sama jasność i czystość bezwzględna, wywołała w niej wręcz przeciwny wynik.

Zachmurzyła się, zacięła jeszcze więcej.

– I... często do niej chodziłeś?

– Daj mi spokój!

Zgaślił papierosa – wcisnął głowę w poduszki.

– Odpowiedz!

– I tak za dużo mówiłem. Daj mi spać!

Nie odpowiedziała nic. Siedziała wciąż nieruchoma. Wreszcie powolnie, jakby mówiąc do siebie, wyrzekła:

– A j e d n a k j ą u d e r z y ł e ś...

Czuć było, że w tym mózgu kobiecym odbył się wartko cały proces. Nocne schadzki, wspólnie odczuwana rozkosz pieczy-

ty, których treść doskonale już pojmować zaczęła – mistyczny wdzięk oddawania się i odbierania ofiary wspólnych uniesień – wszystko to, będące niezbitym i niezłamanym faktem, rzeczywistością stwierdzonym. I nagle ten kij wzniesiony, walący prosto w twarz, a potem osuwający się na pierś. Przegięte ciało pod wpływem bólu, skowyt hieny – i to pozostawienie jej samej w cuchnącej wilgoci ulicznej, podczas gdy oni odgradzali się tchórzliwie od jej mściwości deskami bramy. I nie wiedziała, co w niej jest w tej chwili.

Nienawiść do tej dziewczki, tej p o p r z e d n i c z k i, która z tajemniczych oparów błotnych wychylała się nagle z wyciągniętymi pazurami i zuchwałą mordą, zbrojną w niezaprzeczone istnienie minionych chwil! Czy może jakby współczucie za tę zapłatę, jaka tę dziewczkę spotkała w formie kija... Sama nie wiedziała. Dość, że miała w sobie pełno nienawiści, żalu, buntu. Spożytkować ją umiała. Obrócić w jakąś stronę.

I przeraziła się.

Zrozumiała – że jeśli nienawiści tej, która porwała się tak nagle z jej głębin i ogarnęła ją całą, nie zużytkuje, odwracając ją w stronę dziewczki – lawina cała dławiącego ją zła spadnie ku niemu i połamie jej życie na strzępy. Znienawidzi go i oderwie się na zawsze. Spadnie na nią katastrofa, pogrążająca ją w bezdeń życia bez uśmiechu.

Nienawiści nie zdoła wyplenić z duszy. Przemierzyła jej ogrom i zrozumiała tę potęgę. Za mało miała sił, aby się z nią zrównać. Zbudziła się w niej w ten tragiczny wieczór, zbudziła się przedwcześnie, bo przecież z przebiegiem życia w każdym nienawiść wystąpić musi jako jedna z dominujących cech charakteru. Lecz u niej przyszło to w zaraniu i wypadkowo. Pogodzić się z tym musiała. Gorycz przelewała się po prostu brzegami jej moralnej istoty...

Nienawidzić już musi.

Z jakimś trwożliwym, szalonym gestem porwała się nagle z miejsca. Jak wąż skrecony i wyprężony wsunęła się do łóżka i przywarła do ciała męża. Rozpaczliwie chwyciła go w pól i wtuliła się weń całą.

On, w półsenny, przyjął łaskawie to, co sądził wybuchem temperamentu. Poglądził ją po głowie.

– Ech! ty mała wariatko!...

I wziął ją w swoje ramiona.

### III

Stało się to w niespełna trzy tygodnie po ich ślubie. Jeszcze w sypialni i saloniku wędły z brzydkim, grobowym zapachem resztki bukietów, z którymi włożono Tońkę do wagonu – a pasztet z uczy weselnej, skrętnie przez starszą panią zapakowany do pudła, nie został całkowicie spożyty. Marysienka miała jeszcze zalęknione oczy i usta rozwarłe, jak małe dziecko, gdy się zanadto czegoś przełęknie. A Zdzych kroczył jakoś tryumfująco, trochę parobkowato, i miał w kącikach ust pewien niesmak. Bo natura w nim była prosta, rzecz można nawet prostacka, i komplikacje nocy poślubnych – owe rozkosze, oparte na subtelności delikatnego zdobywania – wydały mu się raczej dwuznaczne. Nierad sprawiał ból i przestrasz, a tu wypadło właśnie owo zadawanie tortury musową koniecznością pod grozą skompromitowania swej dziarskości męskiej. Przy tym był egoistą i miał jakoby żal do zepsucia mu spodziewanej i oczekiwanej satysfakcji serią grymasów dziewczęcych, które brał jedynie i tylko za grymasy. Wyczuł w nich podkład nieświadomości i ta nie zachwyciła go. Oczekiwał uświadomienia, gdyż niezmacony spokój, z jakim przyjmowano w czasie narzeczeństwa jego ryzykowne dwuznaczniki, wprowadziły go na błędną drogę. Sądził Marysienkę dużo wiedzącą i winał sobie tej wiedzy. Lękał się niewiniątek i naiwność robiła na nim wrażenie niemodnej teatralności. Tymczasem zaraz w pierwszej chwili ślubnego sam na sam odczuł, iż potyka się o prowincjonalną, zakamieniałą nieświadomość. Poprzedni spokój w przyjmowaniu tak zwanych „masnych” dowcipów opierał się właśnie na niezrozumieniu. Przestrasz go ogarnął i wzmógł jego zmieszanie. Pragnął jak najszybciej być poza Rubikonem. Stał się prawie brutalnym i niezręcznym. Trochę kose oczy Marysienki – jej twarzyczka krągła z komiczną podkówką drżących, świeżych ust – gładziuchne, grzeczne włoski – ta całość na łóżku małżeńskim, świeżuchno zasłanym, ozdobionym ładną, a nawet wytworną pościelą – „peszyła” go.

– Psiakrew! – myślał – psiakrew – pragnąc, aby ta panienka dała znak życia bardziej intensywny w połączeniu z jakąś brawurą, z teorii czerpaną zmysłowością.

Natomiast ciche podchlipywanie, szloch ofiary, zdumienie ja-  
gnięcia wprowadzonego do szlachtuza...

Czuł, że trzeba powiedzieć jakieś dobre słowo, coś murowane-  
go, coś, co zostanie.

Nie znalazł nic.

Pogładził ją po głowie i zamruczał:

– No... no...

Mimo woli przypomniał sobie ciekawy moment swego życia,  
gdy on znalazł się w sytuacji, w której obecnie znajdowała się Maryś.

Miał lat czternaście, a jego rolę spełniała jego stryjeczna ciotka,  
niebacznie z powodu jakiejś uroczystości ulokowana przez zbyt  
wierzącą matkę w jednym z nim pokoju.

Ten sam wzrok załękniony, kto wie – może te usta w podków-  
kę miał on właśnie. I ten gest protekcyjny. To poklepanie po  
głowie i owo uspokajające „no! no!...” wymówiła ciocia, która  
później zapaliła papierosa i patrzyła na niego z drwiącym, ironicz-  
nym uśmiechem.

Pamiętał, że znenawidził i ciotkę, i akt miłosego złączenia.  
Nienawidził długo, ale powoli się przyzwyczał. A nawet polubił.

– Phi... i Marysieńka przyzwyczał się, a nawet... polubi.

Uśmiechnął się. Sięgnął machinalnie po papierosa. Zapalił go.  
Pozostało mu to ze wspomnienia po „cioci”. Zawsze p o t y m  
musiał wypalić papierosa. U jego boku podchlipywanie dziecka  
ustało.

– Zasnęła, dzięki Bogu – pomyślał – ale to, psiakrew, awantu-  
ra! Dobrze, iż to tylko raz jeden w życiu. Mam tego wyżej uszu!  
Swoją drogą mogli jej byli choć o tym powiedzieć i oszczędzić mi  
tej przykrości.

Utonął zaraz w kombinacjach materialnych. To było stokroć  
ważniejsze. Ożenił się bardzo poczciwie bez posagu. Przyrzekano  
mu tam coś, nawet i teraz przyrzekają, ale on na to nie liczy. Gwiżdże  
na to. Mogli nawet wyprawy nie dawać. Ale dali. I tak byłby dziew-  
czynę wziął. Dlaczego? Sam nie wie. Kochać się? Gadanie austriac-  
kie. Podczas wakacyjnego czasu, gdy bawił u siostry zamężnej za  
notariuszem w jakimś mieście – poznał Marysieńkę. Przedstawi-  
ła mu się nieźle w różowych kretonikach, przez które przebijały jej  
dziewczęce piersi bardzo rozwinięte. Te piersi pociągały go dziw-  
nie. Nisko były osadzone i kształt miały niesamowity. Coś podob-  
nego widział w menażerii u Syngalezek. Później przyzwyczał się  
do ich widoku. Przestał się nimi interesować specjalnie. Nato-

miast coś pomiędzy nimi obojgiem zadzierzgnęło się, jakby sympatia. Lato było cudne, czyste, pachnące.

Staw duży – woda przejrzysta i łódka dawała im schronienie przytulne. Jeszcze jedna gąskowata figurka w błękitnych kretonach dla przyzwoitości – piastująca któregoś Żeromskiego pod mokrą pachą. Tak we troje kołysali się po wodzie dniami całymi – bo nawet kawiarni w mieście owym nie było. Zdych nie wiedział, gdzie umieścić swą męskość. Umieszczał ją więc wyjątkowo przyzwoicie tych wakacji obok różowych kretonów córki stacyjnego naczelnika. Aż się dziwił sam sobie, gdy wieczorem wracał do domu siostry bardzo grzeczny i prawie cnotliwy. O małżeństwie nie myślał, złota wolność kawiarniana była mu drogą. Natomiast myślno za niego. Ani się nie obejrzał, gdy go zaręczono. Różowe kretony i biust Syngalezki oddawano mu wspaniałomyślnie na własność. Przeraził się, potem wzruszył ramionami.

– No to się ożenię! – pomyślał – wielka awantura!

Gdy wrócił zaręczony do miasta na swoje stanowisko adiunkta kolejowego, nie zmienił systemu życia. Spacerował dalej po knajpach i lokalach – za pan brat z kelnerami i dziewczkami, zalegającymi spelunki. Nie chciał czynić sobie przykrości, odmawiając sobie raz przyjętych i utorowanych drózek. Kochał siebie bardzo i czułby ogromną urazę do swego charakteru, gdyby go w czymkolwiek zgwałcił.

– Dość będzie, gdy się ożenię! – pomyślał ze spokojem. – Zresztą wtedy będzie mi łatwiej... będę miał żonę...

Wziął bowiem za zasadę, że jak obiad i kolacja, tak samo musiała być „kobiecość” w jego systemie dziennym.

– Dla zdrowia!

Marysiénka miała mu zastąpić rolę dotychczas spełnianą przez tysiąc i jedno – bezimiennych ciał.

– Dla zdrowia!

Zagaśł papieros, lampka błękitniała w kąciiku sypialni. Nie-smak nie opuszczał ust Zdycha. Zerknął ukosem na nieruchomo leżącą żonę ze splaszczonym noskiem o powierzchnię zbyt świeżego jaśka.

– Hm! wyrobi się... – pocieszał się – jakoś tam będzie!

A potem jego dobre serce wzięło górę. Żał mu się zrobiło tego czegoś, prawie zmaltretowanego i tak bezgranicznie głupiego.

– Biedaczka! – pomyślał – ale czego wyprawiała takie awantury. Nie wiedziała... ślicznie! Ale... gdzie się to takie coś uchowało!...